

Wojciech Stanisławski: Przemiany Brandysa (akt I)

Skąd wzięła się „Matka Królów”? A co, jeśli Kazimierz Brandys, pracując nad opowiadaniem „Nim będzie zapomniany”, zapoznał się z całym ówczesnym dorobkiem Czesława Miłosza, w tym ze świeżo opublikowanym „Zdobyciem władzy”, i zachwycił się mimo woli tą najlepszą polską powieścią XX wieku o bezlitosnej Historii, i nieświadomie przejął jej lodowatą, pogardliwą frazę? – pyta Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Kazimierz Brandys. Dowartościowanie indywidualizmu”.

Myślę, że każdy badacz polskiego stalinizmu jest w stanie z wdzięcznością westchnąć „gdyby Kazimierz Brandys nie istniał, należałoby go wymyślić”. Niewielu jest autorów debiutujących książkowo już po wojnie (odpada więc konieczność porównań, odsiewania przedwojennych uwarunkowań, poetyk i zahamowań, etc.), zaangażowanych po kolei w „Kuźnicę”, w socrealizm, w odnowę i wewnątrzpartyjną krytykę odwilżową, a następnie w kolejne stadia ewolucji ideowej i twórczej – a przy tym tak płodnych.

„Drewniany koń”, w zasadzie debiut (jeśli nie liczyć fragmentów pisanej podczas okupacji prozy „Urodziny”, drukowanych w „Dzienniku Polskim” w pierwsze powojenne lato) ma dwa wydania, oba Czytelnikowskie: pierwsze w 1946, drugie w 1958. Podaję te daty, nużące trivia bibliograficzne, bo nie są one bez znaczenia. „Miasto

niepokonane” (Książka, następnie Książka i Wiedza) wydane było w roku 1946, 1947, 1948 (dwa wydania), 1951, 1953, a następnie (już PIW) w 1957, 1960, 1962, 1964, 1972 i 1974. Przekłady na angielski, bułgarski, czeski, francuski.

Potem następuje najbardziej mnie interesujący cykl: „Między wojnami”. Część pierwsza „Samson”, wyd. I 1948, wyd. 2 1949 (jedyne). Dużo przekładów: bułgarski, czeski, łotewski, słowacki, serbski, ale też hiszpański, szwedzki, dwa włoskie. „Antygona” – 1948, 1949, przekłady na bułgarski i słowacki. „Troja, miasto otwarte” (1949 – dwa wydania, następnie 1950) i wreszcie „Człowiek nie umiera”: 1951, 1952. Wydania łączne, t.1-4: Iskry, 1952, 1953 (dwie edycje), 1955. Przekłady na czeski, niemiecki i po raz pierwszy – rosyjski, z 1958 roku.

Cała tetralogia, w solidnej twardej oprawie, ma przeszło 800 stron. Zalecana była, „pismem Ministra Oświaty Oc-11c/764/52” jako lektura uzupełniająca dla klasy X. I stanowi – od pierwszych wersów („O godzinie ósmej dnia 2 maja roku 1934 wprowadzili Jakuba Golda do pokoju na drugim piętrze”) po ostatnie („Ale do kogo, jeśli nie do nich, należy dzisiaj zachodzące słońce?”) jedyne w swoim rodzaju ewolucji poetyki, stylistyki oraz perswadowanej świadomości ideowej i historycznej polskiego socrealizmu w latach narastania i kumulacji opresji stalinowskiej.

Wątki – odpowiednio splątane. Losy ojca i synów Szarlejów, spokrewnionej z nimi arystokracji, dzielnego towarzysza Pankrata. Generałowie (sanacyjni i ludowi). Aktorzy, aktorki. Postacie z ludu: szoferzy, rikszarze, gotująca GL-owcom Wala. Nie jest to jeszcze rozmach proustowski czy tołstojowski, ale jest to uniwersum postaci

*Każdy badacz polskiego
stalinizmu jest w stanie z
wdzięcznością westchnąć
„gdyby Kazimierz Brandys nie
istniał, należałoby go
wymyślić”*

pozostających w
skomplikowanych
relacjach,
współzależnych.
Jedni wyprowadzani
są ze sceny (śmierć,
choroba, zabójstwo),
inni na nią trafiają,
powieść obejmuje 13
lat – od roku 1934 do

1947. Pod względem złożoności losów, twistów fabuły, zmiennej pozycji bohaterów drugoplanowych, dźwigających intrygę w kolejnych tomach – tetralogia ta wytrzymuje porównanie z licznymi „cyklami powieściowymi” dwudziestolecia, nawet, jeśli jest od nich bardziej chropowata. Co robić – wojna.

Tyle, że horyzonty nakreślonego ostatecznie przez Brandysa świata (świata bohaterów i świata ideowego) nie są naszkicowane od początku, bodaj zasugerowane, jak dzieje się w „Sadze rodu Whiteoaków” czy podobnych wielotomowych powieściach. Wyrastają, jeśli tak można powiedzieć, niczym kolejne gałęzie szczepione na sadzonce drzewa i rozrastają się w różnych kierunkach. Jednocześnie – i równoległość tych dwóch ewolucji dzieła komplikuje obserwacje – rozrastają się i precyzują „horyzonty ideowe”. A zarazem – cała tetralogia, aż po bezlitosną ocenę historyczną Powstania Warszawskiego („W pierwszych dniach października hrabia Bór-Komorowski, wystraszony skutkami swojej zbrodni, spłoszony jak szczur dymem płonącego miasta i widokiem podstępnie przelanej krwi, której był hojnym szafarzem (...) pojechał do Ożarowa. Tam, w kwaterze dowódcy SS von

dem Bacha, po przyjacielskiej gawędzie (...) podpisano akt kapitulacji”) wyrasta z tej pierwszej, bardzo jeszcze oszczędnej fabuły, z jaką mamy do czynienia w „Samsonie”.

Przywołajmy ją w największym skrócie: protagonista „Samsona”, Jakub Gold, doświadcza w II RP prywacji. Niepewność siebie, świadomość „bycia niechcianym” w pechowy, groteskowy sposób kładzie się cieniem już na losie nastolatka, na młodzieżowej bibce. Potem jest już tylko gorzej: na kryzys ekonomiczny nakładają się prześladowania ze strony „młodzieży narodowej”, Jakub Gold w samoobronie zabija korporanta i dostaje surowy wyrok. W celi surowego więzienia nawiąże kontakt z prawdziwym człowiekiem, komunistą.

„Wojna obronna”: Jakub z ludem Warszawy na rogatkach Ochoty, Jakub ukrywany przez poczciwego drobnomieszczanina, Jakub pozostawiony sam sobie, zaszczuty. Jakub ocalony przez GL-owców. Jakub, który chce się z nimi związać Jakub, który wraz z towarzyszami ginie przez zdradę i wyspę – z polskiej, jak się zdaje, ręki.

To rys toporny jak z wypracowania 10-klasisty z roku 1952, który przeczytał lekturę uzupełniającą i postanowił się wykazać. A zarazem w tych kilku zwrotach akcji pojawiło się wszystko, co najistotniejsze dla tetralogii – i dla kilku późniejszych dzieł Kazimierza Brandysa.

Przekonanie, że oś dramatu polskiego lat międzywojnia (i sprężynę późniejszych wydarzeń) stanowi prześladowanie przez narodowców mniejszości żydowskiej, wszechobecny antysemityzm. Paleta postaw Polaków wobec sytuacji prześladowania, od ostracyzmu w gimnazjum po początek Zagłady – w najlepszym razie blade, niekonsekwentne sympatyzowanie, najczęściej – akces do obozu prześladowców, któremu

W tetralogii Brandysa oś dramatu polskiego lat międzywojnia (i sprężynę późniejszych wydarzeń) stanowi prześladowanie przez narodowców mniejszości żydowskiej, wszechobecny antysemityzm

służy również władza państwowa. Jedyni sprawiedliwi – to KPP-owiec w celi, którego Gold odnajdzie po latach jako GL-owca. I lud, prosty warszawski lud – gdzie indziej cwany, złotozęby, małostkowy, w kuchni na Solcu, gdzie gotuje się

kasza dla GL i w szafie trzymana jest wiązka granatów – nieugięty. Trzej najważniejsi protagoniści – Gold – Pankrat – Szarlej są już wprowadzeni na scenę. Również zasadnicza wykładnia lat 30. i 40. jest zarysowana: rządy soldateski sanacyjnej, reprezentującej interesy wielkiego kapitału, w latach wielkiego kryzysu dążące do zbliżenia z orientacją narodową, obiektywnie prohitlerowską. Są one na pozór krytykowane, lecz w gruncie rzeczy wspierane przez socjalfaszystów z PPS, i powierzchownie, niekonsekwentnie krytykowane przez rozmaitych „humanitarystów”, pozbawionych głębszych korzeni ideowych, nad którymi jednak warto popracować. Wojna 1939 oznacza upadek państwa i formacji sanacyjnej, doprowadza do rozwarstwienia społecznego i aktów kolaboracji z nazistami na płaszczyźnie ekonomicznej lub ideowej przez formacje skrachowanej piłsudczyzny, drobnych fabrykantów i rzeźników. Nadzieja – po trudnym, niejasnym okresie przejściowym, który należy przeczekać rozpoznając swoich – jest w mobilizacji proletariatu miejskiego wokół GL.

Powyższy akapit też jest toporny – w odróżnieniu od 120 stron „Samsona”, które pokazują skalę talentu pisarskiego Brandysa, umiejętności sięgania przezeń po paletę odcieni. Gdyby roboczo za dwa bieguny „realizmu socrealistycznego” uznać prozę Nikołaja Szpanowa („Podpalacze”) i Ilji Erenburga – nie ma wątpliwości, gdzie znalazłby się Brandys. Szpanowa fiszkowałem przed laty, zachwycony, że literatura może być tak zła i tak ustereotypizowana. To stopień schematyzacji podobny karykaturom „Krokodiła”: każdy gestapowiec jest na nich albo tłusty, albo sucho-arystokratyczny, każdy polski ziemianin mówi „charkotliwie” i nosi czamarkę (chyba, że monokl), każdy Wasilij z Armii Czerwonej ma szeroką, ciepłą twarz z blond czubem przez pół czoła, czasem, po serii z faszystowskiego kulomiotu, splamionym krwią; ale nawet wtedy jest piękny. Towarzysz z partii jest zwykle giserem, pokasłuje i ma chore płuca. Co innego u Erenburga, który błąkał się po Paryżach i potrafił czytać tamtejsze prozy: jego bohaterowie są niezwykle zniuansowani, a Erenburg pochyła się ze zrozumieniem nad postaciami licznych zagubionych, splątanych, pogrążonych w swoim „ja” inteligentów.

Podobnie Brandys. Wymieńmy tylko kilka drugoplanowych postaci z pierwszych stron „Samsona”, by pokazać, jak talent prozaika może nie przeszkadzać niezwykle spójnej wizji historiozoficznej. Sędzia śledczy, „starszy szatyn w czarnym garniturze”, jest uprzedzająco uprzejmy, choć zarazem „wzdycha, rozsiewając delikatny zapach alkoholu”. Matka Golda – bezradna, zagubiona, nic nie rozumiejąca i zasługująca na litość „jidysze Mame”, której „łzy płyną z kurzych łapek ku fałdzie koło ust”. Nauczyciel Bałturyn – surowy, ale sprawiedliwy, stary PPS-owiec i wolnomyśliciel („czytał Larousse’a”) nie lubi korporantów, broni Golda, ale nie ruszają go, bo w 1905 „siedział w jednej celi” z tym samym, którego portret wisi na ścianie. Ciężkie konie policjantów, bezrobotni z

Wydm, portier w czapce z czerwonym lampasem... Jak można zapamiętać tak wiele świata i z takim talentem umieścić go w historiozoficznej sztancy?

Mijają tomy, mijają lata. W „Troi, mieście otwartym” Julian Szarlej od pierwszych stron wydaje się być karykaturowany, ale nawet jego zapiski w dzienniku, które mają stanowić świadectwo pięknoduchostwa („Teraz znów Paryż – przedziwne miasto, gdzie fioletowy rysunek dachów o zmierzchu należy do mnie, jak moje własne dłonie”) są pisane sprawnie, sugestywnie, wiarygodnie psychologicznie. Paleta postaci – przedwojennej i powojennej polskiej emigracji, szczerych fizyków i wątpiących w siebie literatów, pięknych i smutnych Polek o urodzie Beaty Tyszkiewicz, zapijających się AK-owców, dzielnych entuzjastów Polski Ludowej, rekrutowanych sposób robotników z zagłębi węglowych i demonicznego białorusyjskiego mordercy, uruchomionego przez Jankesów – to wszystko tylko chwilami osuwa się do poziomu groteski czy deklamacji propagandowych. Przez większość tomu zachowuje wieloznaczność i złożoność, jakich oczekujemy od literatury.

To jedno moje zdumienie. Drugie – to lektura „Matki Królów” (Czytelnik 1957, II wyd. – Sosnowiec, Offmax, 1991 (!). Przekłady za to na angielski, duński, francuski, hebrajski, hiszpański, niemiecki i włoski – cztery wydania! – oraz macedoński, serbski, słoweński i węgierski – w 1968 – czyli języki rewizjonistów). Mikropowieści przejmującej, zwięzłej, znanej większości z ekranizacji Janusza Zaorskiego, która trafiła do kin w 1987, po pięciu latach „półkownikowania”.

*„Matka Królów”, jak widzi
każdy, kto czyta ją równoległe
z tetralogią z lat
stalinowskich, jest
przepracowaniem fabuły i
realiów z „Samsona” i
„Antygony”*

„Matka Królów”, jak
widzi każdy, kto
czyta ją równoległe z
tetralogią z lat
stalinowskich, jest
przepracowaniem
fabuły i realiów z
„Samsona” i
„Antygony”.

Kamienica na Solcu,

rzeźnicy, riksze, granaty, stół, duży gar z kaszą, człowiek ocalony przez GL, strzały na schodach, najpewniej bratobójcze, agenci defy w służbie Gestapo. Fachowa analiza porównawcza, być może wspierana programami do cyfrowej analizy treści ukazałaby, myślę, powieść z 1957 jako portet „nadmalowany” na tym z końca lat 40. Wspólna jest nie tylko dykcja, metaforyka, sposoby dramatyzacji: wspólna jest wykładnia dziejów. Lata 30., sojusz socjalfaszystów i piłsudczyzny, agenci policyjni i ciężkie więzienia. Rok 1939, czas klęski i prawdy. Brudny czas okupacji, pełen szmalcowników. I jedna siła, jedno jasne widzenie spraw: GL-owskie. Widzenie tragiczne, skoro nie ocali Warszawy przed rzezią, zafundowaną jej przez hrabiego Bora-Komorowskiego, spłoszonego jak szczur dymem płonącego miasta.

A zarazem „Matka Królów” jest powieścią oferującą (nie tylko w ekranizacji, ale i w lekturze) wzruszenie i katharsis. Jak to możliwe?

Można zaryzykować hipotezę tak karkołomną, że podsuwam ją wyłącznie w trybie felietonowego paradoksu. Nie jest bowiem całkowicie wykluczone, że Kazimierz Brandys, pracując nad

opowiadaniem „Nim będzie zapomniany” (wrzesień 1955), zapoznał się z całym ówczesnym dorobkiem Czesława Miłosza – w tym ze świeżo opublikowanym „Zdobyciem władzy” (wyd. francuskie 1953, wyd. polskie, „Kultury” – 1955). I czytając, zachwycił się mimo woli tę najlepszą polską powieścią XX wieku o bezlitosnej Historii. I nieświadomie – nie ma mowy o kopiowaniu – przejął tę lodowatą, pogardliwą trochę frazę, jedyną, jaką godzi się opowiadać o bezmiarze absurda, niezasłużonej śmierci. I, czując, że jest uwodzony, tym żarliwiej odrzucał zatrute nasienie, w tym większym uniesieniu pisał „Nim będzie zapomniany”, Ale fraza Miłosza zapuszczała korzenie jak perz. Aż przebiła darń – w „Matce Królów”.

Proszę porównać te dwa akapity, wybrane, proszę mi wierzyć, niemal bez namysłu i bez kartkowania wers za wersem obu utworów:

Niech diabli wezmą ich wszystkich. Ich jasno oświetlone kawiarnie, ich auta, toalety ich kobiet - i on, i tacy jak on, z dnia na dzień, zarobić, przetrwać, nic więcej. I jak się stało, że dał się wciągnąć potem, od pierwszego roku okupacji? Walka z Niemcami, ojczyzna. Ale w ich słowach było zawsze coś fałszywego, nic nie było wyłożone jasno. Nie będzie już tak jak przed wojną, inny świat, szczęście dla wszystkich – ale nieokreślone, każdy z nich mówił: najpierw pobić Niemców. Nie można się było wycofać, ambicja, i tak szło. I to on robił całą robotę, każdej nocy zakrywał żarówkę papierem, kładł pistolet w zasięgu dłoni, nakładał fartuch i zasiadał nad czcionkami.

Wszedł do tego domu wprost z ciemności, przeraził ich, wstrząsnął ich życiem. Patrzyli nań ukradkiem, lękając się spotkać jego wzrok; musiał się zmienić od tamtych czasów. On także nie od razu przywykł do myśli, że to jest Łucja Król, ta sama, z którą połączył go kiedyś wiosenny zmierzch, na krótko przed uwięzieniem. Zapewniał ją wówczas, że jej synowie stworzą lepszy świat, i tłumaczył, dlaczego grozi mu aresztowanie. Potem w więzieniu otrzymał jej list; pamiętał, że wydała mu się nieco zabawna i smutna jej ufność, z jaką donosiła o sobie i o swoich synach – jemu, który po więziennym tyfusie w ciągu paru tygodni z trudem odgrzebywał w pamięci twarz swojej matki.

Te dwie powieści warto czytać równolegle, tak podobne w goryczy, w nieomówieniu, w niesformułowaniu końcowego, przejrzystego oskarżenia, choć w przypadku Brandysa rozmywa się ono w piaskach niedopowiedzeń (demoniczny towarzysz Grzegorz, który zwiódł ufego Wiktora Lewena i doprowadził do śmierci Klemensa Króla w kazamatkach Koszykowej kim był – najgłębiej prowadzonym człowiekiem Moskwy? Porte parole Władysława Wolskiego (Piwowarczyka) czy generała Grzegorza Korczyńskiego? Gdzie znikł w 1956?), a w przypadku Miłosza – w rumowisku Historii.

Można też przyjąć drugie wytłumaczenie: że, mianowicie, Kazimierz Brandys był, niezasłużenie, po prostu bardzo dobrym pisarzem.

Wojciech Stanisławski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego